Nr. 7. We Lwowie dnia 18. lutego 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha



Żegnaj mi, żegnaj, domie rodzinny!*)

Żegnaj mi, żegnaj, domie rodzinny,
  Już mgły pokryły cię sine.
Pewnie zamieszka ciebie kto inny,
  Gdy tu raz drugi zawinę!

Dziś nam Bajrona poemat boski,
  Dziś Czajd-Harolda czas czytać:
Tłumy Haroldów żegnają wioski,
  Aby ich nigdy nie witać!

Turkocze bryczka, wiatr z mgłami hula,
  Wjeżdżam w zagajnik uroczy,
Słońce, jak we krwi spławiona kula,
  Śród chmur na zachód się toczy.

Z za drzew zielona majaczy łąka,
  Brzęczą komary i muszki,
A w mojem uchu motyw się błąka
  Wieczornej pieśni Moniuszki...

Po nocnej rosie leć z wiatrem głosie,
  Nad pola, niwy i lasy,
Gdzie ludzie chodzą i we łzach brodzą,
  Leć inne wieścić im czasy!

Leć, leć mój ptaku, ducha junaku,
  W jastrzębim locie nad miasta,
Gdzie zgrzyty, płacze, klątwy, rozpacze,
  Gdzie zielsko myśli zarasta.

Nie płacz ty nutą, z serca wysnutą,
  Skarg nikt nie słucha na ziemi,
Jak ptak jastrzębi w lazurów głębi
  Błyśnij szponami ostremi!

Ach, jak uroczo w blaskach się toczą
  Obłoki, słońce i zorze!
Nie dla nas czary, ni te obszary,
  Ni kwiatów wonne bezdroże!

Nie dla nas życia sielskie rozkwicia,
  Ni łzy radośnych upojeń,
Ni cisza nieba... Żyć nam potrzeba,
  Tłumów nie syci garść rojeń!...

Żegnajcie brzozy, szumiące łozy
  I słońce złote w chmur toni!
Żegnajcie smugi, szemrzące strugi
  I wiatry, dmące po błoni!...

* Urywek z większej całości.

Jak gorzko w maju bieżać wzdłuż kraju,
Patrzeć na wiosnę w naturze,
Gdy w świecie duszy — nic prócz katuszy
I tylko burze a burze...

Leć nad tłumami, świecąc szponami,
Ducha jastrzębiu tułaczy,
Zemsta dłoń ściąga, maj nam urąga,
Kłamie, kto mówi inaczej!

Nasz śpiew samotnie brzmi wielokrotnie
I milczą znękane tłumy,
Nie zabrzmią wtórem w życiu ponurem
Pełzaczy ślepe rozumy.

Lecz ciszy biada, bo w niej się składa
Żywioł z żywiołem pomału!
Zwolna dojrzewa śród myśli drzewa
Owocem kwiat ideału.

I zwolna burza łeb z chmur wynurza
W letnim, dręczącym upale,
Zwolna myśl ciecze w serce człowiecze
Mścić życie spędzone w kale.

Ta czarna burza nad krain wzgórza
Mknie w orkanowym całunie:
Ślepi nie widzą, źli ją zohydzą,
Lecz ona sunie a sunie...

My padniem w boju, lecz w wielkim boju,
Padniem, by wstały miljony!
Choć nasze ziarno inni zagarną,
Nasz posiew da bujne plony!

Ach, jak radośnie ginąć o wiośnie,
Gdy dusza w nowe mknie światy,
Gdy oko leci w przyszłych stuleci
Przestwory, słońca i kwiaty!...

Po nocnej rosie leć, leć mój głosie,
Gdzie drżą miljony w rozpaczy,
Niech wstają tłumni, niech idą dumni,
Inaczej będzie, inaczej!

Zerwij z czół maski, zgłusz' ciemne wrzaski,
Co wznosi rój ów puchaczy,
Mamy dość mocy świt przeczuć w nocy —
Inaczej będzie, inaczej!

Dziś łzy nam płyną, dziś słowa giną
W bezdusznej puszczy słuchaczy,
Ale w ich łonie żar znów zapłonie —
Kłamie, kto mówi inaczej!

Andrzej Niemojewski.

O wpływie czynności duchowych na sprawy chorobowe.*)

Na ogólnem posiedzeniu VII. Zjazdu lekarzy i przyrodników we Lwowie poruszono kwestję, nader doniosłe mającą znaczenie tak pod względem czysto naukowym, jakoteż praktycznego jej zastosowania. Dotyczyła ona mianowicie wpływu, wywieranego przez życie duchowe, czyli psychiczne na rozwój i przebieg różnych dolęgliwości oraz chorób w organizmie ludzkim. Kwestję tę podjął wówczas lekarz neuropatolog Dr. Henryk Nusbaum, który obecnie wydał obszerniejszą pracę o tym przedmiocie. Zebrawszy dane fizjologiczne i patologiczne i zestawiwszy je z dedukcjami biofilozoficznemi, doszedł do wniosku, że wpływ ów jest bardzo wielki, że zaburzenia w czynnościach duchowych powodują zaburzenia chorobowe w najrozmaitszych narządach ustroju. Sądzimy, że pytanie to jest w stanie zainteresować szerokie koła czytelników, należy bowiem do tych zagadnień, nad któremi głęboko zastanowić się powinni nietylko specjaliści w odnośnej gałęzi wiedzy, lecz także pedagogowie, kierownicy zakładów naukowych i wychowawczych, wszelkiego rodzaju opiekunowie młodzieży, socjologowie i wogóle ludzie, interesujący się w słabym chociażby stopniu tem, co obchodzi ludzkość całą. Dlatego chcemy tutaj przedstawić w skróceniu i w formie nieco uproszczonej treść wspomnianej książki, która w sposób jasny i zrozumiały, a przytem ściśle naukowy zaznajamia nas z rezultatami badań i obserwacji, poczynionych w psycho-fizjologji. Skłania nas do tego także sympatja i miłość do ludzi, wiejąca z tej pracy i dająca rękojmię, że zagadnienie o wpływie czynności duchowych na

* Książka pod tym tytułem wyszła niedawno z druku. Warszawa 1894.

sprawy chorobowe będzie tak traktowane, iż nietylko oświeci umysły, lecz zagrzeje serca, obudzi współczucie dla innych i poda wiele praktycznych wskazówek co do postępowania z naszem otoczeniem bliższem i dalszem.

Prace ostatnich dziesiątków lat stworzyły oddzielną gałęź badań naukowych — psychofizykę, dane której wykazują, że objawy duchowe są o wiele więcej, niż myślano dawniej, zjawiskami fizjologicznemi, te zaś procesy fizjologiczne, które są podstawową częścią duchowych, muszą mieć znaczenie nietylko w patologji układu nerwowego, lecz wogóle całego ustroju.

Ustrój nasz składa się z wielu najróżnorodniejszych narządów, nad któremi góruje mózg, wytwarzający myśl świadomą, i wiążący nasze wewnętrzne »ja« ze światem zewnętrznym oraz spełniający w wewnętrznem naszem gospodarstwie cielesnem nader ważne zadania. Otóż ta druga dziedzina czynności mózgu — regulowanie funkcji życiowych — była i jest jeszcze zaniedbywaną w nauce, zadaniem zaś wspomnianej pracy jest podnieść właśnie jej olbrzymie, lecz dotychczas należycie nieocenione znaczenie dla organizmu.

Przystępując do nagromadzenia dowodów tego znaczenia, zaczerpniętych z fizjologji i patologji, autor porusza najprzód powszechnie spostrzeganą serję zjawisk: wzruszenia. Przestrach, zdumienie, nadzieja, obawa, poczucie siły albo bezsilności, odwaga, gniew, próżność, wesołość, smutek, wdzięczność, poczucie piękna lub brzydoty, współczucie, wyrzut sumienia, wstręt, przyjaźń i t. p. przedstawiają takie stany ducha naszego, które nazywamy wzruszeniami. Wiadomo dobrze, że wszystkim wzruszeniom towarzyszą stale pewne objawy w naszym ustroju; już sam wyraz twarzy, postawa ciała i jego większa lub mniejsza ruchliwość zdradzają dany stan naszej duszy, zmiany zaś te są bezwiednem następstwem fizjologicznego skojarzenia między ośrodkami czucia i ruchu. Przytoczymy tutaj tylko dwa z wielu przykładów charakterystycznych, wykazujących wpływ wzruszeń na funkcje narządów ustroju. Oto wesołość pobudza umiarkowanie czynność serca, przyśpiesza w miarę częstość oddechania, podtrzymuje energję mięśni, przemianę materji i wrażliwość na pobudki zmysłów wewnętrznych, a więc na głód i pragnienie; powoduje zwolnienie, czyli rozszerzenie naczyń krwionośnych na obwodzie i ztąd zdrową, rumianą cerą; wypełnia krwią naczynia mięśni szkieletu i powiększa ich objętość. Przeciwnie smutek obniża czynność serca i zwalnia oddechanie, zmniejsza energję mięśni i przemiany materji; znieczula ośrodki na podnięty zmysłów wewnętrznych i ztąd apatja wielkiego smutku; pobudza do działania gruczoły łzowe; wywołuje skurcz naczyń obwodowych, powodując przez to cerę bladą i schorzałą oraz zmniejszenie objętości mięśni szkieletu. Te dane, zarówno jak i wiele innych, na przytoczenie których brak nam miejsca, nie są jedynie rezultatami powierzchownej obserwacji, lecz stanowią owoc ścisłych doświadczeń, wykonanych za pomocą pomysłowych metod przez Mosso, Lange'go, Fere'go i Leimann'a. Dalsze zaś prace w tym kierunku są nadzwyczaj pożądane.

Otóż wzruszenia są to stany szczególnej czynności półkul mózgowych, lecz zarazem pewne stany zachowania się narządów ciała. Innemi słowy: dane wrażenie, które powstaje w korze mózgowej za pośrednictwem zmysłów, pamięci lub wyobraźni, oddziaływa przez pewne środki i nerwy odśrodkowe na narządy obwodowe, wywołując w nich jakieś zmiany. Zmiany te z kolei powodują, za pomocą nerwów dośrodkowych, pobudzenia w stacjach centralnych i nareszcie w korze mózgowej, suma zaś tych pobudzeń w świadomości naszej wytwarza w nas poczucie danego wrażenia. Nie odczuwalibyśmy żadnego wrażenia, a więc np. smutku lub radości, gdyby bezpośrednio po impulsie psychicznym nie następowały pewne zmiany w narządach ustroju. Dziwnem, lecz wielce prawdziwem jest zdanie autora, że nie mielibyśmy np. poczucia wstydu, gdybyśmy się nie mogli rumienić, albo poczucia gniewu, gdyby w organach nie zachodziła żadna z tych zmian jakie miewają miejsce podczas tego wruszenia.

(D. c. n.)

KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

I. POCAŁUNEK.

II.

I stało się co do joty, jak przepowiadały kumy pod lipą.

Starym, przyjętym w górach zwyczajem, po wysłuchaniu żałobnej mszy za spokój duszy zmarłej przed sześciu tygodniami żony — udał się młody wdowiec w towarzystwie wszystkich krewnych płci męzkiej do gospody, aby smutek swój zapić i tam go pozostawić.

W gospodzie bawił przez całe południe, częstując zaproszonych obfitym obiadem, jak to w takich wypadkach wymaganem jest i koniecznem, poczem dziękował serdecznie krewnym za wzięcie udziału tak w dzisiejszem nabożeństwie, jakoteż w uroczystości pogrzebowej, polecając się i nadal życzliwości ich i przyjaźni. Ci, ma

się rozumieć, przyrzekali mu to uroczyście, stwierdzając obietnicę uściskiem ręki i prosząc nawzajem, aby i on zachował dla nich serce kochającego krewniaka, wiernego przyjaciela, co i Łukasz obiecywał również słowami i podaniem dłoni.

Po ogólnych uściskach i wychyleniu kielichów Łukasz podniósł się z za stołu, skinął na siedzącego obok szwagra, który wstał również, i życząc serdecznie pozostałym wesołej zabawy, opuścił gospodę, a nikt go nawet nie zapytał, dokąd mu tak śpieszno. Natomiast wszyscy się uśmiechnęli, żartobliwie mrugając ku sobie oczyma.

A ileż to się twarzy ciek v ych cisnęło do okien, gdy ci dwaj przechodzili wsią! Aczkolwiek nikt nie miał najmniejszej o tem wątpliwości, dokąd się udają, każdy wszakże na własne pragnął przekonać się oczy, czy idą rzeczywiście w swaty do Paluckich. A gdy zniknęli istotnie za progiem ich domu, zaczęli wybierać się tam i sąsiedzi. Zdarza się u nas bowiem, że ludzie, widząc pana młodego, zmierzającego dokądś ze swatem, śpieszą w ślad za nim, aby słyszeć, jak się umawiać będą ze sobą strony obie, przyczem dzielą się często ci dobrowolni świadkowi na dwa obozy, z których jeden popiera przyszłego teścia, drugi zaś pana młodego, jeżeli ci zgodzić się nie mogą, stawiając sobie wzajemnie zbyt trudne warunki.

U Paluckich zazwyczaj schludnie bywało i porządnie, — dbała o ład w domu Vendulka z takiem zamiłowaniem, jak gdyby była miejską jaką dziewuchą, — ale dzisiaj lśniło się tam wszystko i połyskiwało niezwykle, jakby w doroczny odpust. Młoda gosposia posypała podłogę w izbie i sieniach tak grubą warstwą białego piasku, że stopa w nim się nurzała, czarne ramy zawieszonych w kącie nad czerwonym stołem obrazów przystroiła szychem, umaiła lasem kwitnących roślin, a szyby w oknach wytarła tak starannie, że migotały, jak gdyby we wszystkie naraz zaglądało słońce. A ponieważ nie była to ani wigilja święta ani samo święto, widocznie więc spodziewano się u Paluckich niezwykłych jakichś gości. Jakoż należy przypuszczać, że Łukasz, jakkolwiek sam ze względów przyzwoitości nie widywał się z Vendulką przez te sześć tygodni żałoby, oznajmił jej potajemnie przez osobę trzecią, kiedy i z czem pod ich dach zawita. Córka zaś musiała coś szepnąć o tem ojcu, którego nazywano — gdy on tego nie słyszał — kumem Frasobnickim, ponieważ, wskutek zbytniej pobożności, miał zwyczaj wszędzie i zawsze wynajdywać powody do narzekania i frasunku, — gdyby bowiem stary Palucki nikogo nie oczekiwał, w takim razie nie byłby z pewnością przywdział w ten dzień powszedni świątecznej opończy, włosy jego nie byłyby tak gładko przyczesane z obu stron wychudłej twarzy, a w ręku nie obracałby tabakierki, wypełnionej po brzegi świeżuchną tabaką.

Powitał też wdowca i jego szwagra uprzejmie i dwornie, ale z głębokiem westchnieniem, a podając każdemu z gości krzesełko, zapraszał żałośnym tonem, aby zechcieli usiąść i spocząć pod jego dachem. Ci wszakże zaproszenia nie przyjęli.

— Dość będzie na to czasu, gdy pomyślnie sprawę naszą z wami załatwimy, — tłumaczył szwagier Łukasza — wszak domyślacie się już zapewne, z czem do was przychodzimy.

Kum Frasobnicki ponownie westchnął. Niechętnie, bardzo niechętnie zajmował się marnościami tego świata, widząc atoli, że czary tej nie zdoła od ust swych oddalić, wolał wypić od razu grzeszną jej gorycz; nie udając przeto — jak to czynili zazwyczaj ojcowie — że o niczem zgoła nie wie, wyznał odrazu szczerze:

— Nie mówiłbym prawdy, gdybym utrzymywał, że się nie domyślam, co was tu sprowadza: oto Łukasz będzie mię zapewne prosił o moją Vendulkę.

Swat uśmiechnął się, słysząc, jak ostro bierze się dziś do rzeczy kum Frasobnicki, który kiedyindziej zwykł był namyślać się po pół godziny nad każdem słowem, obawiając się powiedzieć coś takiego, coby mogło mu wyrządzić szkodę jaką na duszy. Dzisiaj nie wielu już takich ludzi spotkać można w naszych górach, ale dawniej ponoś wszyscy byli tak sumienni i rozważni.

Uśmiechnął się i Łukasz. Serce radością uderzyło mu w piersiach, gdy usłyszał imię swoje złączone z imieniem ukochanej dziewczyny. Zaczynał nakoniec wierzyć, że to, co się z nim dzieje, jest jawą, rzeczywistością, dotąd bowiem, nie mogąc oswoić się z tak nagłą zmianą losu, uważał nieraz wypadki ostatnich tygodni za senne marzenia.

— Widzicie, stryjku, — przemówił serdecznie, zwracając się ku staremu — że bylibyśmy się porozumieli ze sobą przed trzema jeszcze laty, gdyby rodzice moi nie byli się w to wmięszali.

— Co przez to rozumiesz? — zagadnął z pewnem pomieszaniem kum Frasobnicki.

— A cóżbym miał innego rozumieć, jeżeli nie to, że oddalibyście mi Vendulkę równie chętnie, jak jabym chętnie ją był wziął.

Stary zdawał się wciąż zakłopotany, milczał przez długą chwilę, a w końcu ścisnął zlekka ramionami.

Na taką odowiedź Łukasz, zamożny gospodarz, ogólnie szanowany sąsiad, nie był zgoła przygotowany.

— A cóżbyście mogli mieć przeciwko mnie, z czegóżto się wam nie podobam? — wrzasnął, krwawym oblewając się rumieńcem.

Stary przeraził się donośnego, jak grzmot, głosu gościa.

— Ino nie krzycz tak zaraz — uspakajał Łukasza — alboż to nie wiesz, że nadaremnym gniewem i złością obrażamy Boga?

— A więc powiedźcie mi otwarcie, dla czego dawniej nie bylibyście mi dali córki! Czy uważaliście mię za utracjusza, za pędziwiatra, czy może obawialiście się, aby głodem u mnie nie marła? A może i teraz dać mi jej nie zechcecie?

— Ależ dam ci ją chętnie, dam! I jakżebym dać nie miał, gdy tak bardzo o nią się dobijasz?

— Więc to tylko dla tego?

— Zaprzestań już raz tych pytań, jeżeli masz się przytem unosić tak zapalczywym gniewem.

— Nie zaprzestanę! Chcę wiedzieć, co macie przeciwko mnie i dla czego nie oddajecie mi córki tak szczerem sercem, jakbym tego pragnął.

Kum Frasobnicki zamyślił się głęboko, znać było po nim, że nie wie, jak ma postąpić. Wybrał nakoniec prostą drogę, powtarzając w duchu, że ta najdalej człowieka prowadzi, jemu zaś nie przystoi nawet błąkać się po wykrętnych manowcach.

— Jeżeli już, jako chrześcijanin, mam szczerą powiedzieć prawdę, to...

— To... co?

— To muszę ci wyznać, że, jako ojciec, daję ci córkę z całą radością, a nawet nie znam nikogo takiego, kogobym bardziej niż ciebie chciał mieć za zięcia, a jednak — nie radziłbym, zaiste, ani tobie z nią się żenić, ani jej za ciebie wychodzić.

Palucki otarł spocone czoło. O, ten Łukasz umiał ciągnąć ludzi za język, nie było sposobu przed nim się wykręcić. Zresztą dobrze się stało, że natarczywością swoją wymógł na starym wyznanie tego, co kamieniem ciężyło mu na sumieniu od chwili, gdy usłyszał od córki, w jakim celu młody wdowiec wybiera się do nich w odwiedziny. Do ostatniej chwili wahał się, czy ma poruszać tę kwestję, jak i kiedy to uczynić. Teraz spadł mu nareszcie ów kamień z serca, ale kosztowało go to niemało!

Łukasz i szwagier jego oniemieli ze zdumienia przy ostatnich słowach gospodarza, — oniemieli wraz z nimi sąsiedzi i kumowie, którzy stopniowo zgromadzili się w izbie, chcąc być świadkami zaręczyn Vendulki. Nikt takiego wyroku nie oczekiwał i oczekiwać nie mógł. Wszak od lat kilku jeden był tylko głos w górach, że na całym świecie nie możnaby znaleźć dwojga ludzi bardziej dla siebie stworzonych i goręcej miłujących się, jak Vendulka Palucka i Łukasz Palucki. Opowieść o nieszczęsnej ich miłości, godnej podziwu wierności kochanki i rozpaczy kochanka, z inną nierozerwalnym złączonego węzłem, była na wszystkich ustach, każdy też cieszył się i winszował obojgu młodym, że nakoniec należeć będą do siebie, a ślubu ich wyglądano z najżywszem upragnieniem, niby publicznej uroczystości — i oto nagle kum Frasobnicki wystąpił ze swoją przestrogą.

C. d. n.

Tłumacz. z czeskiego
M. W.

PROSTA OPOWIEŚĆ.

(Dokończenie).

Uczta skończyła się. Urzędnicy, z czapkami w rękach, w pewnem, nakazanem przez uszanowanie, oddaleniu, otaczali wysokiego dygnitarza i oczekiwali jego rozkazów. Gubernator żegnał właśnie swoich podwładnych ruchem głowy, pełnym arystokratycznego niedbalstwa, kiedy nagle jakieś krzyki i szamotania doszły jego wielkopańskich uszu. Odwrócił się i ujrzał strażnika, pięściami broniącego wstępu starcowi w łachmanach, który blady, nędzny, drżący, zdawał się być ledwie żywy. Sądząc, że to żebrak, gubernator sięgnął do kieszeni, gotów rzucić biedakowi jałmużnę, za którą usłyszałby niewątpliwie pochlebstwa i błogosławieństwa.

— Wpuścić tego człowieka! — rozkazał.

Błażek stanął przed nim.

Gubernator, spojrzawszy uważnie w oblicze wieśniaka, cofnął mimowolnie rękę z datkiem i pozwolił Błażkowi mówić.

— Jaśnie wielmożny gubernatorze! ulituj się nademną, wysłuchaj mojej prośby!

— A czegóż chcesz?

— Chcę... chcę... jaśnie wielmożny... żeby mnie, m o j ą i dzieci jaśnie pan kazał wysłać na Sybir...

— Co, co? — przerwał gubernator zdumiony.

— Wysłać na Sybir... — powtórzył chłop.

— Na Sybir? ależ to warjat!

— Tak, tak, to warjat! — pośpieszył potwierdzić pisarz.

— Jaśnie panie, on łże! — zaprzeczył Błażek, a jego wyblakłe oczy rzuciły pisarzowi takie spojrzenie, że aż obawę i ciekawość wzbudziły w wielkim panu.

— Ten człowiek nie jest godzien rozmawiać z waszą ekscelencją! — wtrącił nieśmiało pisarz.

Gubernator uczynił ruch pełen pobłażliwości.

— Mów! — zwrócił się do Błażka.

— Rozłączyli nas... a żyliśwa dwadzieścia lat w zgodzie i miłowaniu, zabrali mi m o j ą i dzieci i wywiezli... hen, daleko, do Blindowa...

Gubernator pytająco spojrzał na pisarza.

— To nie była jego prawa żona, — objaśnił tenże.

Spojrzenie dygnitarza pytało dalej.

— Przecież prawo nie zabrania... — mruknął przez zęby.

— Przyszedł rozkaz z konsystorza w Chełmie, — ciągnął pisarz.

— A... — gubernator pochylił głowę.

— Brat jego ożenił się ze starszą siostrą jego żony.

— Kto im ślub dawał?

— Proboszcz katolicki, ale wyraźnie wykazanem zostało, że ten oto pochodzi z unitów, to jest odstępca!

— Jaśnie gubernatorze, — odezwał się teraz Błażek, a w oczach jego jaśniał święty ogień, jaki pewnie opromieniał twarze męczenników, — miałem chałupę, niewiastę i dzieci, szmatek ziemi, bydlątka... zabrali mi wszystko. Moją wywieźli daleko, chudobę sprzedali za kary i podatki... Nie byłem nigdy pijakiem, ani złodziejem, pracowałem, jak Pan Bóg przykazał, a dziś na moje stare lata... ostał mi jeno ten kij żebraczy... Ale nic to, dopuszczenie Boże, o jedno ino błagam, niechajże mnie wywiozą na Sybir, z moją i dziećmi!

— Ale czyż ty nie wiesz, że tam tylko zbrodniarzy wysyłają?

— Dyć wiem, ale myślę, że mi tam będzie lepiej... kajże gorzej być może? tam może będę miał dach nad głową. a wedle siebie moją i dzieciska, robaki... może ja tam zginę, kiej kamień we wodzie, może tam zapomną o mnie...

Gubernator uczuł się w nieco kłopotliwem położeniu. On także odgadywał całą okrutną niesprawiedliwość, jakiej Błażek padł ofiarą, ale stał otoczony wszystkimi urzędnikami powiatu i gminy, i należało, bądź co bądź, dowieść przedewszystkiem wierności dla swego kościoła.

— A czy chodzisz do cerkwi? wypełniasz nasze przepisy religijne? zapytał naczelnik powiatu, jakby przychodząc w pomoc gubernatorowi.

— Katolikiem jestem! — odparł poprostu Błażek.

— Nieszczęśliwy! wypierasz się wiary twych ojców, radzimy ci raz jeszcze, powróć do niej.

Błażek stał nieporuszony.

— Zabraliśta mi wszystko, tylo wiary mojej świętej — przyłożył rękę do piersi — onej mi nijaki mocarz nie zabierze!

Gubernator, chcąc nareszcie przerwać niemiłą sytuację, wydostał trzy ruble z kieszeni.

— Widzę, że jesteś biedny, pewnie głodny, przytem chory na umyśle, na, masz tu...

— Niech jaśnie pan da to swoim psom! — Błażek wskazał strażników i pisarza, — oni za ruble zaprzedają sumienie, pewnikiemby i swego Boga zaprzedali! o małoć im ślipie nie wylizą, kiej pieniądze obaczą!

Gubernator podniósł głos.

— Jak wy możecie trzymać warjata w gminie? — wyrzekł spokojnie, zmierzając ku drzwiom, — dla takich biedaków jest przecie szpital. Gmina powinna znaleźć potrzebny fundusz i utrzymywać tego nieszczęśliwego.

Postawił nogę na stopniu powozu. Za chwilę koła potoczyły się i powóz znikł za chmurą kurzu.

— Brawo, brawo! — wykrzyknął pisarz, klaszcząc w ręce, — warjata do szpitala! Co to za głowa ten gubernator! Hę, batiuszka, nam ta myśl nie przyszła, a to takie proste! Głupi Błażek pójdzie do warjatów! cóż można innego począć z takim opętańcem... to tylko kłopot dla nas; nie ma nic, nie ma nawet całych butów, a od swego uporu nie odstąpi. Nie możemy go przecież na łańcuchu do cerkwi prowadzić. Niech idzie do warjatów i niech gmina płaci za niego! A to sławny gubernator, powinienby zostać ministrem! Co ten Błażek wymyślił sobie z Syberją! tylko ksiądz katolicki mógł mu taką myśl podsunąć. Ale gubernatora nie brać na takie sztuczki, znalazł jeszcze coś lepszego, oho!

— Prawda, prawda, — przytakiwał pop — ileż to razy powtarzałem sobie, że wstyd dla nas, iżeśmy nie mogli skończyć z tym chłopem; źle, jeśli żadna kara nie skutkuje! Teraz wszystko dobrze, warjat, doskonale! szaleńca nie zmusza się do posłuszeństwa.

I zawieźli Błażka do X. Nie stawiał najmniejszego oporu. Ciało jego jechało obok strażników, na wozie, duch unosił się wyżej. Przez drogę odmawiał litanję do Matki Boskiej.

— Panno najświętsza, módl się za nami!

Nad wieczorem zajechali przed szpital. Było to za miastem i już daleko z drogi słychać było turkot kół w smutnym budynku.

Zsiedli z wozu. Strażnik zadzwonił. Wyszedł posługacz i zapytał, jakiego rodzaju chorego przywieziono.

— Obłąkany z Korabiny.

— A, to do siostry Julji. Czy w tej chwili jest spokojny?

— Spokojny.

— Ale może pan strażnik będzie łaskaw iść z nami... z warjatem nigdy nie można być pewnym.

Weszli. Wpisano imię i nazwisko przybyłego, przeczytano świadectwo, potwierdzone przez gminę i pozostawiono Błażka w ponurym domu.

Wkrótce zaprowadzili go do sali, gdzie otoczyli go szaleńcy. Jedni mieli jeszcze pewne przebłyski rozumu, drudzy bełkotali i bawili się, jak dzieci.

Weszła siostra Julja.

Nieszczęśliwi biegli do niej, jak do matki. Dla każdego miała dobre słowo.

Błażek przyglądał jej się zdumionemi oczyma. Po raz pierwszy widział ten wielki biały kornet i takie słodkie spojrzenie.

Zakonnica zwróciła się do niego:

— Czy dawno przybyliście tu, mój przyjacielu? czy bardzo jesteście zmęczeni po drodze? a może głodni jesteście?

— Oj, nijakiego jadła, ani dogody nijakiej mi nie potrza, — odpowiedział Błażek, ośmielony serdecznem odezwaniem się siostry Julji — ino kąta, gdzieby mnie w spokojności ostawili, może najdę go kole tych warjatów...

Siostra Julja spojrzała na nowego przybysza ze zdziwieniem.

— Poznamy się powoli, — rzekła, — tu niema warjatów, tu są chorzy, a ja ich doglądam. Zobaczycie, że nie tak źle pod moją opieką.

— O, i ja też jestem chory! chory na duszy, co w tęskliwości wielkiej płacze za kobietą i dziećmi, i płacze nad ich zbawieniem!

— Ma widocznie manję religijną, — pomyślała siostra Julja. — Będziemy razem modlili się o ich zbawienie, — przemówiła z dobrocią i wyszła.

Błażek długo patrzył na drzwi, za któremi zniknęła, zdawało mu się, jakoby jakaś światłość promienista pozostała za tą anielską istotą.

— Kto-że to być może, — myślał — mówi do mnie, biedaka, kiejby jaka święta.

Ale nikt mu nie umiał odpowiedzieć, otaczali go szaleńcy.

Nazajutrz i dni następnych widział znów siostrę Julję i wyobraził sobie, że to anioł od Boga zesłany, który zszedł pomiędzy nieszczęśliwych, aby ich otoczyć skrzydłem litości i miłosierdzia.

I zwolna, zwolna, odżyło raz jeszcze to serce prostacze a tak miłości pełne. Siostra Julja zrozumiała Błażka, odgadła w nim wielką duszę męczennika. Z czasem stał się jej najlepszym pomocnikiem przy pielęgnowaniu chorych.

— Józef! Józef! — słyszano ze wszystkich stron.

A Błażek biegł, gotowy zawsze nieść pomoc, choćby najwstrętniejsze czekało go zajęcie i nie tracący nigdy anielskiej pogody i zupełnego zaparcia się siebie.

Czasami, gdy zmierzchło, siadywał wpośród obłąkanych i gwarzył o swojej chałupie, ogródku i polu, które uprawiał, jak je orał, zasiewał, rozrzucając pełną garścią zboże daleko od siebie i jak to zuchwałe wroble przychodziły aż prawie do rąk jego. Mówił o swoich poczciwych szkapach, wiernym psie i krówkach pieszczonych, kieby nieprzymierzając dzieci, albo opisywał rozległe lasy p. Polańskiego, gdzie bywało, napotkasz taki dąb, co go trzech ludzi ledwie obstać mogło i gdzie ogromne sosny szumiały, szumiały...

O swych przeszłych nędzach nie wspominał nigdy i tylko siostrze Julji opowiadał o żonie i dzieciach.

Historja jego znaną była w całej okolicy. Zwiedzający szpitał prosili nieraz o pozwolenie zobaczenia Błażka.

Oglądają go z podziwem, jak cudowną jaką istotę, a przecież, mój Boże, na tysiące liczy się u nas takich skromnych męczenników!

Zofja S.

Rozbiory i sprawozdania.

»Historja dwóch lat 1861—1863. Przez Z. L. S.« Część I. Rok 1861. Tom III. Kraków 1894.

Oceniając w »Tygodniu« pierwsze dwa tomy pracy p. Z. L. S. i wytykając jej nader szkodliwy dla sprawy narodowej, czysto »russki« kierunek, spodziewaliśmy się przynajmniej, że szanowny autor, który rozporządza widocznie policyjnem archiwum warszawskiem, da nam wiele nowych i ciekawych faktów o przedpowstańczej agitacji. Tom II., napisany dość żywo i wyczerpująco, zdawał się zapowiadać bogactwo materjałów, a ponieważ dobra sprawa nigdy światła się nie boi, szczerze przyklasnęliśmy pojawieniu się takiej książki. Obecna część »zacnej« pracy p. Z. L. S. srodze nas rozczarowała i musimy ostrzedz czytelników, że nie znajdą w niej ani prawdy (co było do przewidzenia), ani nawet wyczerpującego obrazu ówczesnych wypadków, nawet ze stanowiska lojalności wszechrosyjskiej. Szanowny autor przedstawia się teraz jako czysty powieściopisarz, ozdabia swoje przewlekłe rozdziały niesmacznymi tytułami n. p.: »Sesoztrys« (Suchozanet), »Mój Hamlet« (Lambert) i t. p., i ogranicza się zawikłaną kompilacją policyjnych źródeł o manifestacjach, gromadząc najniepotrzebniejsze i najmniej wiarygodne szczegóły, prawdopodobnie dla powiększenia liczby arkuszów druku. Co się zaś tyczy ogólnego obrazu wypadków i opisania samego spisku, widzimy tylko niedokładność za niedokładnością, a nawet fałsz za fałszem, co nas poniekąd cieszy, bo pokazuje, że Moskale nic prawie o samym ruchu nie wiedzieli i nie wiedzą. Nie warto się wdawać w szczegółowe sprostowania, bo trzebaby chyba napisać drugi taki tom, a przyznamy się, że owe, tak rozchwalone przez stańczyków dzieło zupełnie na taką odpowiedź nie zasługuje. Damy tylko kilka najjaskrawszych przykładów zupełnej niewiarygodności szanownego kompilatora.

Zauważymy nasamprzód, że oprócz Berga, Ustimowa, Podwysockiego i innych Moskali, stanowiących główną jego podporę, autor, kiedy chce mówić o rzeczach zupełnie dla Moskali nieznanych, powołuje się na »ustne, wiarygodne« opowiadania, nie wiadomo czyje a zupełnie fałszywe, jak widać z ciągłego przekręcania faktów. Mowi np. że czerwoni chcieli urządzić manifestację w dniu imienin Napoleona III. (!!!), że tylko umiarkowani ich powstrzymali, a parę stronic dalej powiada (jak było w rzeczywistości), że czerwoni zaprotestowali drukowaną odezwą przeciw takiej manifestacji. Opowiada o jakiejś złotej młodzieży, na którą się czerwoni wściekali, a do której mieli należeć (już w 1861 r.): Alf Wrześniowski, który służył wówczas przy kolei petersburskiej, jako inżynier na Litwie i przyjechał dopiero w 1862 r. do Warszawy, jako adjutant Konstantego, i Napoleon Mańkowski, wnuk generała Dąbrowskiego, także w r. 1861 r. urzędnik kolei petersburskiej w Białymstoku; jest to zresztą, co do ostatniego, jawne oszczerstwo, bo Mańkowski, kolega szkolny i osobisty przyjaciel Bronisława Szwarca, który u niego nawet mieszkał w Warszawie, sam należał do ruchu i był w organizacji urzędnikiem wydziału podatku narodowego.

Co do założenia pierwszego komitetu, autor długo się o niem rozpisał, ale tak dalece o faktach pojęcia nie

ma, że zadaje kłam Gillerowi, podług którego inicjatorem komitetu był »pewien obywatel z Wołynia«; autor sam cytuje gdzieindziej nazwisko tego obywatela, Apolla Korzeniowskiego, ale nie ma nawet pojęcia o tem, że tu o nim mowa. Autor pisze o »Strażnicy«, nazywając ją nieortograficznym i bezsensownym świstkiem rzemieślniczym, piszącym np. stale k r e f i t. p. a dalej powiada, że jej artykuły były pióra Gillera, Denela, Korzeniowskiego i innych. Autor zarzuca Jeziorańskiemu, bardzo zresztą wątpliwemu świadkowi, że przeniósł scenę przegłosowania Chmielińskiego w Komitecie na rok 1862 6 czerwca, i chce koniecznie, by to miało miejsce w r. 1861, a sam pod tą datą opisuję wypadek 6 czerwca 1862 r., przy którym piszący te uwagi był obecny. Jednem słowem, dawno nie widzieliśmy takiego galimatjaszu pojęć, faktów, zasad i zdań przeciwnych i stanowczo musimy mu odmówić wszelkiego znaczenia historycznego.

Warto jednak zaznaczyć jeden fałsz autora, który na odpowiedź zasługuje, bo jest mniej więcej konsekwentnie w całej książce przeprowadzony, i narzuca zupełnie fałszywe pojęcie o ówczesnych wypadkach. Pan Z. L. S. oskarża wyłącznie czerwonych o urządzanie manifestacji, ubolewa nad tem, że z b a w i e n n e *(sic)* rady Wielopolskiego co do gwałtownego przytłumienia demonstracji nie zostały usłuchane i powtarza to mniej więcej na każdej stronicy. Tymczasem sam opowiada, jak było w istocie, że w manifestacjach brała udział cała szlachta, hrabiowie, hrabiny i t. p. i nie rozumie, że właśnie wtedy się ruch spiskowy zaczął, kiedy te manifestacje zostały przytłumione stanem oblężenia po 15 października. Bo w rzeczywistości nigdy stronnicy zbrojnego powstania takim jawnym demonstracjom nie sprzyjali i dopiero wówczas mogli się zająć przedpowstańczą robotą, kiedy mądrzy mężowie stanu stłumili wszelki legalny sposób wyrażania uczuć całego kraju. Czas od lutego do października 1861 r., czas delegacji, śpiewów, odpustów i nabożeństw żałobnych strasznie popsuł nam szyki. Dąbrowski, Mierosławski, Szwarce, Korzeniowski, Denel i inni ciągle przeciw temu marnowaniu czasu protestowali, ale prądów zatamować nie mogli, tembardziej, że całe b i a ł e stronnictwo podtrzymywało je ze wszystkich sił, przygotowując, jak zawsze, mimo chęci i wiedzy, cały naród do późniejszych działań. Dopiero kiedy zbawienne gwałty Wielopolskiego wzięły górę, można się było zorganizować, i taki zwrot autor szczegółowo opowiada, bez najmniejszego jednak pojęcia o właściwym biegu wypadków i o ich przyczynach. Autor nie rozumie nawet, że najumiejętniejszą polityką zaborców było pozwolić ludowi wygadać się, wyśpiewać i wykrzyczeć, i że tylko takim sposobem można było utorować drogę do przyjęcia ł a s k carskich i »reform« Wielopolskiego, odejmując zarazem stronnikom ruchu większą część gorętszych żywiołów.

Poprzestaniemy na tych uwagach, radząc naszym czytelnikom, by się jaknajostrożniej posługiwali »Historją dwóch lat« i żadnej wiary jej nie dawali, chyba po należytem, bardzo szczegółowem sprawdzeniu.

A. B. S.

Przegląd pism.

»Ateneum«. — Styczeń 1894.

W urozmaiconym styczniowym zeszycie »Ateneum« przedewszystkiem podnieść należy nowelę Orzeszkowej p. t. »Bracia« i nowe listy Żmichowskiej, pisane z wystawy paryskiej r. 1867, interesujące, jak wszystko, co z pod pióra tej znakomitej autorki wyszło.

Rozmyślania p. Lutosławskiego na temat »Skąd się biorą pessymiści« przedstawiają szereg luźnych uwag, nie zawsze słusznych, po większej części powierzchownych.

W »Sprawach ekonomicznych« p. Iwanicki zaznajamia nas z treścią nowej ustawy rosyjskiej o rządowym monopolu sprzedaży trunków, który od Nowego Roku wprowadzony został w życie w czterech dalekich wschodnich guberniach Rosji. Jednocześnie rząd moskiewski przedsięwziął pracę celem wprowadzenia tegoż monopolu w Królestwie i guberniach ościennych. Autor oblicza przypuszczalnie, iż monopol ten podwyższy dochody skarbu rosyjskiego co najmniej o 100—120 miljonów rubli i mniema, iż stopniowo przywróci on gorzelnictwu charakter przemysłu ściśle gospodarczo-rolnego, bezpośrednio z ziemią złączonego i wyłącznie ziemiopłody własnego dominium przerabiającego.

Ciekawą jest sylwetka zmarłego niedawno głośnego essayisty amerykańskiego Holmes'a.

Znany popularyzator p. Kramsztyk pisze o »stuleciu metra«, po raz pierwszy tymczasowo zaprowadzonego we Francji prawem 18 germinala III. roku republiki (t. j. 7 kwietnia 1795 r.).

Wiele miejsca poświęca noworoczny zeszyt przeglądom: literackiemu i artystycznemu, a p. Chmielowski w oddzielnym artykule rozbiera ostatnią pracę M. Zdziechowskiego p. t. »Byron i jego wiek«. *p.*

Z ruchu piśmienniczego.

Olechnowicz Wł. Dr. »**Instrukcja dla osobistych spostrzeżeń na osobach żywych**«, ułożona podług metody prof. Topinarda staraniem komisji antropologicznej Akademji umiejętności w Krakowie. — Kraków 1894.

Pawiński Adolf. »**Sejmiki ziemskie**, początek ich i rozwój aż do ustalenia się udziału posłów ziemskich w ustawodawstwie sejmu walnego 1384—1505.« Warszawa 1895.

PRO MEMORIA.

19. lutego 1846. Rozpoczęła się rzeź galicyjska.

20. lutego 1846. Wybuchło powstanie w Krakowie.

19—25. lutego 1831. Bitwy pod Warszawą (Wawr, Grochów).

22. lutego 1846. Rząd polski w Krakowie ogłasza zniesienie poddaństwa i pańszczyzny; obiecuje parobkom uposażenia z dóbr narodowych; rzemieślnikom zapowiada urządzenie warsztatów narodowych.

23. lutego 1863. Bitwa pod Małagoszczą pod dowództwem Langiewicza.

25. lutego 1864. Zwierzdowski zostaje powieszony przez Moskwę w Opatowie.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.